

P. 7627



DWUMIESIĘCZNIK
uczennic Liceum i Gimnazjum
w Mariówce Opoczyńskiej

Brzask pod piramidami

LIST Z EGIPITU

Otrzymałem przed kilku dniami „Brzask” z Mariówki.

Trafił aż pod piramidy i zrobił mi nadzwyczajną przyjemność. Bo choć się znamy od dawna, nie przypuszczałem, że zechce fatygować się za góry i lasy, za morza i pustynie aż do gorącej Afryki. Tym większą czuję wdzięczność.

Wczoraj zwiedzałem piramidy w G'za.

Przed wyjazdem do Egiptu wyobrażałem sobie, że istnieją tylko trzy piramidy. Okazuje się, że jest ich aż dziewięćdziesiąt sześć. Wznoszą się one w sześciu grupach na brzegu pustyni Libijskiej na przestrzeni czterdziestu km. wzdłuż lewego brzegu Nilu. Dużych piramid, jakie znamy z obrazków, jest siedem. Reszta znacznie mniejsze.

Licząc od Mariówki Opoczyńskiej najbliższej położone są piramidy grupy Abu Roasz, dalej na południe o osiem km. od Nilu i od głównego miasta Egiptu — Kairo znajdują się piramidy w Giza. Te piramidy są największe. Koło nich o 320 metrów dalej w dole leży Sfinks, któremu pokazałem ostatni „Brzask”.

Opowiem później, jak to było. W każdym razie staruszek od razu szalenie się zainteresował składem redakcji, jako też znakomitymi wiadomościami przemiłych autorek i pierwszorzędnymi korespondencjami „Brzasku”. Żałował tylko, że ani redakcja, ani korespondentki nie zamieściły swoich fotografii, ani też nie ilustrowały tekstu.

Dalej na południe wysunięta grupa to piramidy w Abuzir, następnie w Sakkara, gdzie jest najstarsza piramida tzw. schodowa, w ogóle najstarsza istniejąca w Egipcie budowla z kamienia z 2780 r. przed Chrystusem, czyli ma przeszło 4700 lat. Najdalej od nowej Mariówki leżą piramidy w Dakszur.

Czytelniczki „Brzasku” w całej Mariówce Opoczyńskiej jak długa i szeroka — i „te wybitne”, i te, co cierpią na „różne reakcje”, wiedzą doskonale, że piramidy to olbrzymie groby. Każda piramida wykazuje dwie części: 1. grób ziemny z szeregiem korytarzy, komnat, pokoi 2. świątynia, miejsce zebrań, modlitw za umarłych i miejsce ofiar, składanych przez krewnych zwłaszcza w rocznice śmierci.

Najwięcej dostępne i największe są piramidy w Giza.

Słynne choćby z tego, że po 40 przeszło wiekach istnienia doczekały się nareszcie w tym roku wizyty „Brzasku”, dwumiesięcznika uczniń Liceum i Gimnazjum w Mariówce Opoczyńskiej.

Wobec tego epokowego zdarzenia błędnie Monachium, Barcelona, błędnie tym bardziej manifest Napoleona, wydany ongiś pod piramida-

mi, a zaczynający się słowami: „Żołnierze! Czterdzieści wieków spogląda z tych piramid na was!”

Tu w tej chwili odwróciły się karty historii. Tu nie 40 wieków spogląda na „Brzask” z Mariówki Opoczyńskiej, ale „Brzask” z Mariówki spogląda na 40 wieków.

Piramidy noszą nazwę swych twórców, którzy je za życia dla siebie przygotowali. Największą piramidą jest piramida Cheopsa w Giza.

Według dokładnych obliczeń zbudowana jest z dwu milionów trzystu tysięcy kamieni, ale kamieni dużych, każdy ma co najmniej przeszło 1m^3 objętości — dokładnie 1.10m^3 . Nie wiem, czy wszystkie „przyrodniczki” z Mariówki razem podniosą taki kamień. Pewno nim nie ruszą nawet po dużej porcji chrustu.

Kamienie te sprowadzono z gór pustynnych Mokkałam po drugiej stronie Nilu koło Heluanu.

Dziwne przecucia i myśli tłoczą się na widok ogromnych piramid. Już Rzymianie oglądali je jako starodawne, bardzo stare zabytki i patrzyli na nie z podziwem.

Pisarz Herodot, który w 450 roku przed Chrystusem zwiedził Egipt, pisze, że przy budowie piramidy Cheopsa pracowało 30 lat przez 3 miesiące w roku po 100.000 ludzi, to znaczy w czasie wylewu Nilu, kiedy nie było pilnych robót w polu. Byli oni zajęci tylko przy transporcie kamieni. Kamieniarze pracowali przez cały rok.

„Najprzód zbudowano drogę, po której sprowadzono kamienie z Nilu do wzgórz libijskich. Drogę wyłożono szlifowanymi kamieniami. Przygotowania trwały 10 lat, równocześnie zakładano podziemia, komory. Budowa właściwej piramidy zajęła 20 lat. Każda z czterech ścian ma 250 m. długości, tyleż wynosi wysokość. Piramidę budowano według Herodota na kształt stopni, potem robotnicy podnosili inne kamienie maszynami zrobionymi z krótkich dźwigni drewnianych z ziemi na pierwszy stopień i tak ze stopnia na stopień. Na pewno wykończono najpierw górną część piramidy przez polerowanie”.

Piramida Cheopsa nie ma już dziś warstwy zewnętrznej, polerowanej kiedyś. Dziś z bliska to olbrzymia góra gładów prostokątnych, jeden na drugim ułożonych na kształt stromych bardzo stopni; kąt nachylenia wynosi $51^{\circ}50'$, długość boków 227,5m., obecna wysokość piramidy wynosi 137,18, pierwotna 146,59 m, masa zbudowana — $2,352000\text{m}^3$ z żółtawych bloków kamiennych.

Wierzchołek piramidy ma 10m. płaszczyzny i może na niej stanąć nawet całe liceum mariowskie. Nie wiem tylko, czy panienki miałyby odwagę wspiąć się tak wysoko. Wieża kościoła Mariackiego w Radomiu ma 72 m. wysokości, piramida ma dwa razy tyle. Choć są tacy,

widziałem nawet panienki, co wchodzi. Oczywiście nie o własnych tylko siłach. Są do pomocy Beduini.

Dwóch ciągnie za ręce, trzeci pcha. Trwa to dobry kwadrans. Zre-sztą dużo zależy od cirkumferencji. Liceistki pewno dłużej, gimnazjalistki prędzej. Schodzenie z piramid jest znacznie trudniejsze niż wchodzenie.

Druga piramida, Chefrena, położona od poprzedniej nieco wyżej, na wysokości 136, 40 m. na objętość 1,659 200m³, odznacza się tym, że ma cały wierzchołek nietknięty, dobrze zachowany.

Trzecia — Menkewre 62 m. wysokości. Obok piramid jest cały szereg grobów i świątyń, a ciągle odkopuje się nowe. Teren naokoło to ogromna przestrzeń pełna pyłu i piasku.

Wejście do piramid prowadzi z północnej strony. W piramidzie Cheopsa przechodzi się przez szereg korytarzy. Na wysokości 42m. od podstawy piramidy znajduje się wewnątrz grobowiec około 6 metrów wysokości, a 5,20 i 10,43 m. szerokości, wykładany granitem. Ale tam jest dużo nietoperzy i sów.

Do Sfinksa prowadzi droga przez piaski nieco w dół, tak że jego głowa jest w równej linii z podstawą piramidy Cheopsa, a cały korpus znajduje się w głębokim dole.

A co to jest Sfinks? — Na całym obszarze kraju od Zawady aż hen po Smogorzów wiedzą wszyscy, że jest to olbrzymi lew kamienny z głową królewską, na głowie ma chustkę z węzem, oznaką władzy królewskiej.

Sfinks leży wśród wielkiego kamieniołomu, z którego Cheops czerpał bloki kamienne do budowy swej piramidy i cmentarza królewskiego.

W czasie łamania kamienia pozostawiono olbrzymi głaz z twardego, szarego i żółtego kamienia jako nie nadający się na piramidę.

Następca Cheopsa, Chefren, zwrócił uwagę na ów głaz przy budowie swej piramidy i świątyni i polecił zrobić z niego olbrzymiego Sfinksa około 2650 lat przed Chrystusem. Tak powstał w wielkiej jamie ów kolos, który zadziwia wszystkich i jest uważany za jedno z najpotężniejszych dzieł ludzkich. Głowa jest uszkodzona, nos i broda zbite przez Arabów i Mameluków, wysokość od podstawy, na której leżą nogi lwa, do czaszki wynosi 20m. Całość ma 73,50 m. długości, blisko jak gmach szkolny w Mariówce, ucho ma 1.37, nos 1.70, usta 2.32 szerokości, twarz 4.15 m. szerokości. Twarz Sfinksa jest zwrócona na wschód w kierunku Nilu.

Wskutek burz piaskowych zasypało go w ciągu wieków kilkakrotnie. Odkopywali go już nawet późniejsi faraonowie, Ptolemeusze, w czasach rzymskich, ostatnio przed 12 laty.

Sienkiewicz np. oglądał tylko głowę, cały korpus był wtedy zasypany. Tak samo ma się rzecz ze szkicami W. Kossaka, który widział tylko głowę Sfinksa.

Oglądałem Sfinksa w nocy przed godziną dwunastą przy pełni księżyca, kiedy światło księżycowe pada wprost z góry. Tak piramidy jak sam Sfinks robią wtedy niesamowite wrażenie czegoś nadludzkiego, tytanicznego, czegoś, co żyje, myśli i duma o nieśmiertelności.

A Sfinks spogląda wtedy przed siebie poprzez wieki, ciągle ten sam, choć przechodziło koło niego setki milionów ludzi, patrząc nań zawsze z najwyższym zaciekawieniem i podziwem.

Za dnia nie można dostać się blisko do Sfinksa ze względu na prowadzone przed nim w dole prace wykopaliskowe. Można go oglądać tylko z boku od strony południowej.

W nocy jednak wprowadzili mnie Beduini tuż przed Sfinksa, aż do samej podstawy głęboko w dole.

W świetle księżyca czytał sobie Sfinks wtedy ostatni numer „Brzasku”.

Widział i słyszał już tyle różnych rzeczy poprzez wieki. Mało co go wzrusza. Ale jak zaczął czytać „Sensacje mariowskie”, o tych, co „obgryzają paznokcie”, o jękach i wzdychaniach po bezsensownych, księżycowych nocach, o paczkach wymarzonych, o ondulacjach w Przysusze, to po wiekowym milczeniu pomimo całej powagi Sfinks nie mógł wytrzymać i choć zrazu dusił w sobie swe zadowolenie, w końcu wybuchnął szczerym śmiechem na całą, z przeproszeniem, gębę. A jak wspomniałem, ma ona dwa metry i trzydzieści dwa centymetry szerokości. — Proszę spróbować tak mile się uśmiechnąć.

I kiedy za dwa tysiące lat uczeni badacze po zastosowaniu trygonometrycznych pomiarów zauważą różnicę w wyrazie twarzy Sfinksa z roku 1939 i z r. 3939, to po długich i żmudnych dociekaniach, po wielu zjazdach naukowych tej sprawie poświęconych, dojdą do odkrycia epokowego faktu, że tym, kto zdołał przełamać zagadkowe wiekowe milczenie Sfinksa i zmusić go do uśmiechu, był „Brzask” z Mariówki Opoczyńskiej, co niniejszym zaświadczam.

*Ks. Dominik Ściśkała
abonent „Brzasku” w Egipcie*

Heluan, w lutym 1939

PATRZMY W PRZYSZŁOŚĆ!

— Jeszcze tylko kilka miesięcy, a zamkną się za nami na zawsze bramy szkoły średniej i nadejdzie chwila, dla której pracowałyśmy przez długich csiem lat, chwila, w której nagle powiedzą nam, że jesteśmy dorosłe i zdolne do tego, by rozpocząć nowe, samodzielne życie.

Czy potrafimy stanąć na wysokości zadania? Czy podołamy nowym obowiązkom? Czy nie będziemy jednostkami bez wartości, które umieją tylko brać, a z siebie nic nie dają?

Oto pytania, które mimo woli przychodzą do głowy i domagają się odpowiedzi.

Ale nie wolno nam tracić nadziei. Teraz czas na to, żeby jasno i odważnie spojrzeć w przyszłość, żeby stanąć wobec niej z wysoko podniesioną głową, nagromadzić w sobie tyle zapału i siły, aby starczyło na całe życie. To, czego nauczyliśmy się w szkole, stanowi tylko małą część tego ogromu wiedzy, który poznać jeszcze musimy i który zdobędziemy w życiu.

A o tym przyszłym życiu każda z nas myśli dzień i noc, każda inaczej. W głowie aż huczy od marzeń i projektów, których przybywa z każdą chwilą.

Czujemy w sobie tyle siły, tyle energii i taką wielką chęć do jej wyładowania w jakiś inny niż dotąd sposób, bardziej czynny, bardziej pożyteczny; chcemy się uczyć, uczyć jak najwięcej, nie tylko z książek, ale i z życia.

Chcemy poznać, podbić i pokochać cały świat.

Chcemy znaleźć w życiu szczęście i chcemy to szczęście zanieść ludzkości. Chcemy koniecznie robić dużo dobrego, widzieć naokoło siebie szczęśliwe, radosne twarze. To są marzenia—wiemy. Wiemy, że w życiu obok jasnych są i ciemne chwile. Nieraz będzie nam ciężko, nieraz na pewno trzeba będzie wielkiego wysiłku, żeby się nie załamać, żeby wytrwać na stanowisku, które każdej z nas los przeznaczy. Wtedy przyjdzie nam z pomocą ten zapas wiary w siebie jaki mamy teraz i którego nie damy sobie wydrzeć nikomu; on nas podtrzyma i doprowadzi do tego, co każda z nas nazwie swoim celem w życiu.

Zosia Bobińska kl. II. lic.

Z cyklu: Przyrodnicze referaty humanistek.

DRAPIEŻNE

(Referat wygłoszony w „Tłusty Czwartek” w kl. I. lic)

Sama nazwa wskazuje, że drapieżce drapią. Jeżeli zaś są drapieżne i drapia, to bez wątpienia mają do tego drapania odpowiednie przyrządy. Będąc zaś drapieżnymi, a tym samym drapiąc i posiadając pazury czy inne niezbędne w tym wypadku akcesoria, muszą mieć również jakieś obiekty do drapania.

Co drapią? Nie takie to zrów ważne, bo każdy chyba z własnego doświadczenia wie, że można drapać się po głowie i w każdym innym miejscu, gdzie swędzi. Gdy się zaś ma zmartwienie, nie zaszkodzi drapnąć się w czoło, co przynosi podobno nadzwyczajną ulgę. Jeśli za pierwszym razem eksperyment zawiedzie, trzeba powtarzać aż do skutku. Na kłopoty poważniejsze w rodzaju: zawiedziona miłość, złamane serce, 8—9 dwój itp. praktykuje się kurację dłuższą, uciążliwszą, ale jednocześnie skuteczniejszą. Mianowicie w wypadkach takich drapie się czoło trzy razy dziennie, po każdym jedzeniu. Środek niezawodny!

Wyższy stopień rozwoju osiągają przyrządy do drapania u zwierząt, które drapać chcą, lubią i muszą częściej. Zauważyć się to da u osób, które drapią się ustawicznie po głowie. Pazury takich dochodzą nieraz do zastraszającej wprost długości, a z dumą obnoszone i używane (niestety!) przez właściciela stają się istną plagą otoczenia.

Drapieżce mają zazwyczaj wspierające rozwinięty instynkt. Nikt chyba nie zaprzeczy, że każdy prawdziwy drapieżnik, taki, jak to się mówi — z krwi i kości, z dziada pradziada, po mieczu, po kądzieli i z zamiłowania, zawsze wie, co chce drapać. I nigdy się, szelma, nie pomyli, bo instynkt wyraźnie mu mówi: „Drap, bracie, tego, bo się opłaci, tamtego nie ruszaj — chudy jak półtora nieszczęścia, więc nic nie wydrapiesz”.

Drapieżce mieszkają wszędzie. Można je spotkać na każdym kroku, co naturalnie dowodzi powszechności ich procederu. Patrząc w lewo — drapie ktoś piórem po papierze, aż świszczy; patrząc w prawo — drapie kto inny czym innym i po czym innym, aż wióry lecą; oglądam się w tył — drapia; patrząc prosto przed siebie — drapia! Czy to nie jest okropność?

To tyle z ogólnej charakterystyki. Przejdźmy do omówienia poszczególnych typów.

Królem drapieżników był, jest i chyba już do Sądu Ostatecznego zostanie człowiek. Drapie, co mu pod pazury wpadnie; drapie siebie i bliźnich, drapie w życiu i po śmierci, drapie mocno, drapie słabo, drapie, drapie, drapie!

I jak takiemu się nie znudzi?

Do najgorszych, najniebezpieczniejszych gatunków drapieżników ludzkich należą bezsprzecznie zakochani i profeszcowie, względnie profesorki.

Wśród tych pierwszych na porządku dziennym jest wydrapywanie rywalom oczu z zazdrości.

Ci drudzy drapia znacznie więcej i gorzej, bez krzty miłosierdzia, a w dodatku najniewinniejsze pod słońcem, ani trochę na taki okropny los nie zasługujące istoty biedulki uczennice.

Ma się rozumieć, ani jednych, ani drugich nikt nie chroni ze względu na ich zastraszającą liczbę.

To strasznel

Drapieżcą jest również lew. Rozróżniamy dwa zasadnicze gatunki. Pierwszy, spotykany na Saharze, trudni się delikatnym drapaniem „pod włos” służących mu jako zakąski podróżnych, których ma zwyczaj spożywać w stanie surowym łącznie z butami, ubraniem bez względu na barwę i jakość materiału, paszportem, dubeltówką i kaskiem tropikalnym.

W wypadku gdyby zabrakło wyżej wymienionych, bo i na Saharze panoszy się kryzys, lew kładzie zęby na półkę i z konieczności drapie piasek.

Drugi gatunek, „lwem salonowym” pospolicie zwany, bezkarnie kręci się między ludźmi, a żywi bezbronnymi sercami „płci pięknej”. Jest naturalnie w 100% gorszy, bo podczas gdy lew pustynny rozdrapie i ogryze swą ofiarę „od stóp do głów”, to „lwisko salonowe” połknie takiej damie serduszko i unięszczęśliwi niewiastę na całe życie. Cóż bowiem znaczy kobieta nie posiadająca ani jednej komcra, ani jednego przedsiönka sercowego? Figa, kompletne zero, moralny inwalida!

Idźmy jednak dalej.

Wilki to też drapieżca, którego charakterystyczną cechą jest to, że natura ciągnie go ustawicznie do lasu. Tak już widocznie urządzony ten świat, że każdego coś gdzieś musi ciągnąć. Pana X ciągnie kieliszek, pana Y — karty, panią M — wystawy sklepowe i modniarka, pannę Franię, tę z masarni, „ciongnie” kino i orkiestra wojskowa, a wilka natura do lasu.

Więcej powiedzieć się o nich nie da, życia tych potworów nie zba-

dano jeszcze dokładnie, bowiem wilki zazdrośnie strzegą tajemnicy swych pazurów i każdego zbyt natrętnego badacza potrafią przy akompaniamencie rozdzierających kwików i pisków nauczyć „dyskrecji” w ciągu 1/2 godziny.

Do drapieźców należy również soból, który to biedak wszedł po prostu w przysłowie.

„Ma pani takie sobolowe brewki” — mówi dany młodzian do danej dziewczęcia, co bynajmniej nie znaczy, że ślicznotka jest drapieżna. Uchowaj Boże! Taka panienka może się najwyżej podrapać z wdziękiem w sobolową ozdobę twarzy i kropka. Nic ponadto, podobieństwo z sobolem skrócone i już.

Chcę mówić teraz o psie, stworzeniu podobnym do wilka, ale więcej znanym, jako że drapie w obrębie psiej budy i ludzkiego domu. Drapie przeważnie cudze spodnie, za które potem właściciel takiego Brysia, Burka czy Bukieta musi słono płacić, drapie z zamiłowaniem żydów i drapie drzwi, kiedy chce wyjść na spacer. Poza tym czasem jeszcze czeka.

W odwiecznej niezgodzie z psami, ale za to w szalonej przyjaźni ze starymi pannami żyją koty, które oprócz prawdziwego ogona i fałszywej natury posiadają jeszcze pazury, ostry język i chodzą „własnymi drogami.” Okazują rozczulającą słabość do myszy, młodych wróbli i kanarków.

Oprócz tego istnieją koty w przenośni. Każda ładniejsza panna jest dla każdego sentymentalniejszego młodziana „kotkiem”, każda narzeczona „kiciusiem”.

A teraz ryś. Można to pisać zarówno przez duże jak i przez małe „r”, przy czym „ryś” przez małe „r” jest mniej ważny, a „Ryś” przez „R” dużo niebezpieczny i czyni okropne spustoszenia w sercach prawnuczek Ewy. Do tego rodzaju Rysia nadzwyczajnie pasują ostrogi, koń, szabla i jedna albo dwie gwiazdki. Taki drapieżnik okropnie w ten sposób zyskuje na sile, a zważywszy na jego zabroczność oraz na bezbronność płci pięknej należałoby go poważnie zacząć tępić.

Grzechem byłoby również zapomnieć o kilku charakterystycznych, jedynych w swoim rodzaju drapieżnikach, a więc przede wszystkim o aninie, która drapie porządnym ludzi w gardle, żywi się chinozolem, jodyną, oraz wymaga natychmiastowej interwencji pana Ciemięgo (nasz Eskulap); o „drapace”, która może być równie dobrze brzoza jak ryżowa, jest synonimem pospolitej miotły, służy między innymi do okładania porządnym ludzi po plecach, a w ciężkich rękach jakiejś Agnieszki czy Korduli staje się przeokropnym wprost narzędziem; o znanych wreszcie „drapaczach chmur”, które stały się plagą lokatorów i symbolem Ameryki.

Istnieje jeszcze zwierzę, które, moim zdaniem, zupełnie śmiało można zaliczyć do drapieżników, jednak zdania uczonych są w tej sprawie bardzo rozbieżne. Chodzi tu mianowicie o „drapichrusta pospolitego”, którym to mianem obdarzamy zwykle młodzieńców o energii silnie dającej się we znaki umęczonym bliźnim...

Mam jednak nadzieję, że już w najbliższej przyszłości będę mogła oznajmić ogółowi wynik prac prowadzonych w związku z tym zagadnieniem. Teraz jednak z obawy, by szanowne grono czytelników nie zamieniło się mimo woli w drapieżników, kończę ten referat naszpikowany drapaniem, niczym drapieżca pazurami. Zresztą — wybaczcze — muszę się koniecznie... podrapać.

Wanda Ciesielska kl. I. lic.

Dzieciństwo moje upłynęło na Łotwie

(Wspomnienia napisane z okazji Miesiąca Polaka z Zagranicy)

Wszyscy wiedzą z gazet i z komunikatów radiowych, jak ciężka jest dola emigrantów, zwłaszcza tych, którzy nie chcą się wynarodowić. Doznaliśmy jej na sobie, ja i moja rodzina, mieszkająca z dziada pradziada na Łotwie. Przypominają mi się pierwsze lata mego dzieciństwa, spędzone wśród najbliższych krewnych, w rodzinnym majątku Wilianowie, w Inflantach. Koleżanek nie miałam, bo te, które mieszkały w sąsiedztwie, były Łotyszkami i nie umiały mówić po polsku, ja zaś zupełnie nie znałam języka łotewskiego.

Nie lubiam Łotyszów z całego serca, ponieważ przez nich Tatuś mój miał często nieprzyjemności. Dokuczano nam, że jesteśmy Polakami. Nawet mali chłopcy naśladując starszych mówili o nas źle i śpiewali piosenki, w których wyśmiewali Polaków. To było okropne! Dlatego też wołałam nie stykać się z Łotyszami. Z opowiadań wiedziałam, że nasz majątek nie jest już tak duży, jak dawniej; że po wojnie zabrali Łotysze, nam, Polakom, znaczną jego część i to powiększało moją nienawiść ku nim. Nie lubiałam więc ludzi i mało ich znałam. Wiedziałam tylko o niektórych tradycyjnych obrzędach ludowych, takich jak święto Kupały i dożynki, które zresztą odbywały się podobnie jak w Polsce. Zachwycałam się za to tak piękną przyrodą łotewską, którą pokochałam bardzo.

Przypominam sobie rozległe równiny, zarośnięte wysoko, miejscami do pasa, trawą i kolorowym kwieciami, z jednej strony domu, z drugiej — łańcuch mniejszych i większych pagórków, porośniętych gdzieśgdzie drzewami; tuż za ogrodem las, skupienie drzew liściastych, rzadziej iglastych. Rzucają tam cień wysokie, smukłe olchy, rozłożyste dęby, garbate wierzby. Nawet w dzień w niektórych miejscach panuje półmrok. Są to przeważnie podmokłe, uginające się pod nogami tereny. Leżą tu drzewa przewrócone burzą lub zeszcpane od starości, leżą i próchnieją. Porasta je mech i owija dziki chmiel. Lecz znam też inne miejsca, bardziej wesołe i dostępne. Są to dwa ulubione moje pagórki, pełne słońca, pokryte zielonym kobiercem mchu i wrzosu. Zawsze tam było pełno kolorowych ważek i brzęczących pszczoł, które tu miały swoje barcie. Pagórki te były świadkami niejednej wesołej sceny i zabaw z moją siostrzyczką i dlatego najbardziej je lubiałam.

Moje szczęśliwe, beztroskie dzieciństwo w otoczeniu najbliższych skończyło się z chwilą, gdy trzeba było pomyśleć o nauce. Ile kłopotów mieli rodzice z wyszukaniem polskiego nauczyciela, ze sprowadzeniem go! Co gorsza, po pewnym czasie okazał się nieodpowiedni i tak było ciągle. Mój Ojciec, jako członek rady miejskiej w pobliskim mieście Dagdzie (nie wiem, jakim cudem został nim, gdyż Łotysze w myśl hasła „Łotwa dla Łotyszów” usuwali Polaków ze wszystkich urzędów), zaczął starać się o uzyskanie pozwolenia na otwarcie polskiej szkoły. Dla lepszej orientacji muszę dodać, że ilość Polaków w Inflantach, zresztą jak i w całej Łotwie, jest duża. Niektórzy zaklimatyzowali się tam, inni natomiast wszystkimi siłami dążą do zachowania swojej odrębności narodowej. Praca, której Tatuś się podjął, była ciężka i nieprzyjemna, gdyż na każdym kroku spotykał się z niechęcią władz, ironicznym zachowaniem się znajomych Łotyszów, a czasem, co najgorzej bolało, trudnościami ze strony Polaków. Po licznych jednak staraniach powstała polska

szkoła. Po kilku miesiącach zdobyła ona rozgłos i zakasowała istniejące tam szkoły łotewskie. Trzeba wiedzieć, że wśród młodzieży tamtejszej panuje wielka demoralizacja, szkoły natomiast prawie zupełnie na to nie reagują.

Nic więc dziwnego, że gdy tylko powstała szkoła, która dbała o staranne wychowanie młodzieży, rodzice, nawet Łotysze zaczęli tu zapisywać swoje dzieci. Nie podobało się to władzom i po roku szkołę zamknięto.

Trzeba było albo zacząć uczyć się po łotewsku, albo na tym skończyć edukację. Ani jedno, ani drugie nie uśmiechało się Rodzicom, którzy chcieli swoje dzieci wykształcić i wychować na Polaków. Po długich naradach Rodzice moi postanowili odwieźć mnie do Rygi, gdzie istniała szkoła w języku ojczystym. Pierwszych dni mego tam pobytu dobrze nie pamiętam, wiem tylko, że cały czas chodziłam za Tatusiem, nie wiedząc, co się koło mnie dzieje. Dopiero po upływie pewnego czasu, po przyzwyczajeniu się do życia miejskiego, zaczęłam odróżniać starą dzielnicę miasta, położoną po jednej stronie Dźwiny i nowocześnie zbudowaną po drugiej. Samo miasto nie zrobiło na mnie miłego wrażenia. Najlepiej lubiłam przejeżdżać małym statkiem na drugą stronę rzeki lub też wyjechać statkiem czy tramwajem, których co prawda było bardzo mało, i podziwiać piękno okolicy. Wędrówka taka Dźwiną, choć niedaleka, dawała niezapomniane wrażenia. Za miastem rzeka dość szeroko, leniwie rozlewa się po nieskończonej równinie, tworzy liczne odnogi, łączy się znów, by dalej płynąć razem. Na brzegach pojawiają się drzewa, krzaki, o ile teraz pamiętam, były to wełniste łoży, wierzby kąpiące swe gałęzie w wodzie. Patrzyłam ciągle i podziwiałam.

O szkole nic innego nie mogę powiedzieć prócz tego, że był to duży, nowy i ładny gmach. Po kilku miesiącach wyjechałam z Rygi, ponieważ mój pobyt tam wymagał obecności Mamusi lub Tatusia, co znów było niemożliwością ze względu na sprawy majątkowe.

Tak czas płynął. Miałam już 9 lat, a zdołałam przerobić zaledwie pierwszą klasę. Było to niemałym zmartwieniem Rodziców, którzy chcieli mnie uczyć i to koniecznie po polsku, a warunki nie pozwalały.

Latem 1932 roku przychodzi z Polski od stryja list, w którym proponuje wysłać mnie na naukę do Ojczyzny. Ciężka była myśl o rozstaniu, a jednak konieczna. Dobrze, ale czy rząd łotewski pozwoli na wyjazd? Trudna to była do rozwiązania sprawa i wymagająca wielu starań, częstych wyjazdów do Dyneburga, aby otrzymać wizę i inne potrzebne papiery. Gdy wszystko już było gotowe, odwiózł mnie Tatus do Polski. Najlepiej może ze wszystkich pamiętam chwilę rozstania, kiedy żegnałam się z Mamusią i rodzeństwem. Ścisnęłam każdego, całowałam niezliczoną ilość razy, przyglądałam się wszystkim po kolei, żeby obraz najbliższych wyryć w pamięci na zawsze. Patrzyłam, lecz mało wzięłam. Kiedy po raz ostatni całowałam moją Kochaną Mateczkę, przy pożegnaniu z którą postanowiłam zachować się mężnie, by oszczędzić jej cierpień, nie wytrzymałyśmy obie. Jakiś nieopisany ból przenikał moje serce, zdawało mi się, że już nigdy tu nie wrócę, nie ujrzę krewnych, nic i nikogo. Przeczucie nie zawiodło, już sześć lat minęło od tego czasu, a jeszcze nie odwiedziłam mojej rodziny. Myśl moją często dręczy pytanie: „Jaka będzie nasza przyszłość? Czy będziemy kiedy razem, szczęśliwi i spokojni we własnej Ojczyźnie?”

Marysia Wasilewska kl. IV.

W OBRONIE PENSJONARKI

To jest okropna, jak słońce jasna i jak słońce piekąca, a — niestety — tylko wśród najbardziej zainteresowanych święte oburzenie budzące niesprawiedliwość. Krytyków namnożyło się ostatnio w zastraszający sposób, przysłowiowe „wieszanie psów” na bliźnich weszło ludziskom w krew i przyzwyczajenie i na to się już, niestety, nic nie poradzi, tym bardziej, że „jeszcze się taki nie urodził, co by każdemu dogodził”.

Z tępą rezygnacją mówi się więc „trudno”, macha ręką i płaci pięknym za nadobne. Ludzie są przecież ludźmi, gadać lubią, muszą i nie darują nikomu. Zresztą to jest XX wiek.

I nikt by do nikogo nie miał ani cienia pretensji, gdyby był choćby cień... sprawiedliwości. Nie chodzi mi przecież o to, że tego obmówią mniej, tego więcej, a tamtego pograżą „na amen” — to jest jeszcze mimo wszystko najsprawiedliwszy punkt całej tej sprawy, bo i tak i tak na wszystkich razem i każdym z osobna suchej nitki nie zostawia. Mnie zawsze boli, denerwuje i w ogóle do ostatniej szewskiej pasji doprowadza fakt, że jedni pokrzywdzeni znajdują i rzeczyż jakimś cudem zjadłych obrońców, a są tacy, o których pies z kulawą nogą się nie zatroszczy. Każdy przyzwolił złodziej, bandyta, gangster czy kidnapper ma przynajmniej kilku adwokatów, ciskających się w jego obronie, niczym świąteczne karpie, w rozpacznym proteście przeciw śmierci, zadziwiających pomysłowością w wyszukiwaniu tysięcy oszałamiających argumentów „za”, a za jeden „przeciw” gotowych skakać śmiałości do oczu, z najgłębszych otchłani klątki piersiowej wyrzucających w szalonym tempie 100 słów na sekundę takie pętki żywej mowy, że biedny sędzia i zebrani powoli, ale systematycznie dostają kołowaczyny. Ostatecznie — ułaskawienie.

Każda dorożkarska szkapa, która nie dostała nowego chomąta na gwiazdkę, prosię z odwróconym ryjem, pies, któremu nadepnęto na ogon i nie wypłacono odszkodowania, oskubana gęś, krowa, której po przyszcyci nie pozwolono wyjechać na kurację, czy dochodzący swych praw zdetronizowany król zwierząt, lew, spotkają się na pewno z gorącą i tkliwą sympatią grona starych panien, całemu światu stawiających czoło w obronie pokrzywdzonych czworonogów.

I...? W rezultacie krowa dostaje pożyczkę na wyjazd do Rabki, prosię — pomoc lekarską i szydełkowe zabezpieczenie od mrozów na zsiniałą ozdobę twarzy, a lew w dalszym ciągu może się cieszyć przywróconym tytułem i budzić podziw swych poddanych w... Zoo.

To jeszcze nie koniec, bo niech no jakaś gazeta umieści w braku czegoś lepszego wiadomość, że ta i ta na firmamencie filmowym wdzięcznie mrugająca Greta, Marlena czy inna Annabella posiada ni mniej ni więcej tylko 42 numer balowego pantofla, trzeciego męża i 30 lat „z hakiem” — oho! — skrzywdzona „na honorze” niewiasta dostanie spazmów, napadu furii, że dwa razy zemdleje, krzyknie w kilku językach, że „to skandal”, wielbiciele zrobią wielkie larum i... poranne dzienniki przyniosą sensacyjne sprostowanie, bo „nasza sława ma rozczulającą małą nóżkę, jeszcze bardziej rozczulającą ilość latek (18—19) i szczyt rozczulenia: jest mężatką szósty raz z rzędu”.

Ale dalej. Rozedrze smarkacz spodnie na płocie albo z zadowoloną miną przyniesie do domu 7 dwój ze sprawowaniem włącznie, to ojciec skóry sprać swobodnie nie może, bo synek idzie w opiekę mamusi i swoje robi w dalszym ciągu. Za parę dni wpuszcza matce kota w świąteczną strudelę, drze drugą parę spodni, podbija siostrze oko i ma tę satysfakcję, że broni go tym razem papa we własnej osobie.

I tak ciągle: „każda potwora ma swego amatora”, który jej przecież nie da zginać na tym Bożym świecie. Nawet takie „Lambeth — walk” i „Trędowata” znajdują przecież gdzieś, u kogoś usprawiedliwienie, nawet Tworki, Mariówka, tran i żółtaczka, matura i w ogóle wszystkie obrzydliwości globu ziemskiego.

Powiem niebacznie do którejs zwariowanej przyrodniczki, że nie mogę patrzeć na goryla, bo dostaję dreszczy ze strachu, a ta mi na to, spuszczając wdzięcznie oczy: „Nie mów tak, bo ja kocham naturę”; kiedy indziej znów wypnie mi się coś niezbyt pochlebnego o lotnictwie, to zaraz cała armia wielbicielek L.O.P.P.-u leci mi oczy wydrapać.

Wszystko to pięknie, wszystko dobrze, tylko bądźże ty, świecie niewdzięczny, choć za pół grosza sprawiedliwy, broń sobie bandytów, primadonny, prosięta, gęsi i goryle, zabijaj się dla lotników, podartych spodni i nieudanych strucli, ale nie zapominaj i nie krzywdź nas, pensjonarek. Stworzeniaśmy przecież Bóże jak i ta nte, wyżej wymienione, sympatii twojej więcej czasem godne niż niejeden czworonóg.

A tymczasem wszyscy od początku świata prosto z mostu „huzia”! na pensjonarki. A że takie, a że owakie, a chude, atramentem wiecznie umazane, nie nie warte, sentymentalne, pusto w głowie, o niczym poważnym nie myślą, rumienia się o byle głupstwo jak wielkanocne prosięta — s’owem — istne kryminaly. Nieszcześnie, Bogu ducha winna pensjonarka stała się po prostu przysłowiowa. „Kochasz się jak pensjonarka” — mówi ktoś z pogardą do przyjaciela, który wyraźnie oszalał, bo od tygodnia nie sypia z powodu jakichś złotych loków i niebieskich oczu, wzdycha, aż się wiatr robi, a ludzie oglądają, pisze wiersze, że pożałował Boże i ma najzwyklejszego w świecie „fijola”.

„Fijol” „fijolem”, normalny objaw, ale po kiego licha od razu „pensjonarka”? Nie mógłby ten dowcipny „ktoś” powiedzieć na przykład: „Kochasz się, mój drogi, jak kucharka”? Mógłby, ale woli być ostrożniejszy, kucharki bowiem mają swoje stowarzyszenie św. Zyty, które może takiego jegomościa w każdej chwili podać do sądu, pensjonarki za to są niezrzeszone, biedne, opuszczone przez świat cały, więc stanowią idealny, wymarzony przedmiot kpin.

I dlatego mówię stanowczo, z pijackim uporem i nikt mnie nie przekona, bo wiem swoje: „Adwokatów jest za mało!” Dixi! Cóż mi z tego, że setki i tysiące stękają przez ileś tam lat nad prawem rzymskim, opowiadając na prawo i lewo, że to wściekle trudna kombinacja, coż mnie obchodzą ci wszyscy adwokaci z powołaniem, zamiłowaniem, z praktyką, bez i t. d., skoro żadnemu jak dotąd nie przyszło do głowy wystąpić energicznie w obronie istot najbardziej tego godnych — pensjonarek?

Więc choć anim adwokata, ani — nawiasem mówiąc — nikt mnie o to nie prosił, zabieram głos w tej sprawie i to na czas dłuższy. Chcę bronić i obronić, chcę zawstydzić świat, wywalczyć skrzywdzonej pensjonarce lepszy byt i zmienić ogólne o niej mniemanie. Bo po pierwsze

dlaczegoż to jak jagniątko spokojne (uchowaj, Panie Boże) stworzenie ma być synonimem kościstego, kanciastego, mocno „zmorowatego” zjawiska o długich nogach, rozwichrzonej wiecznie łepetynie i na tęczowo atramentem malowanych rękach? Zasadnicza pomyłka, bo ręczę, że każda szanująca się Ina, Tina, czy inna Lala więcej czasu poświęca układaniu misternych loków przed lusterkim niż Bolesławowi Chrobremu, głowę dając, że ręce ma czyściejsze od całej armii obmawiających ją dowcipnisiów, a już całkiem brzydko nawymyślam każdemu, kto się ośmieli pisać, że jest „zmorowata”, bo to poważne łgarstwo.

Dalej: dlaczego właściwie uparli się wszyscy, że pensjonarka musi być wiecznie zakochana, sentymentalna jak półtora nieszczęścia, wzdychająca rozdzierająco do każdego napotkanego młodzieńca, choćby ów ostatni nosił spodnie „à la teń makaron”, jakaś się co drugie słowo i w każdej klasie siedział co najmniej po trzy lata?

Przecież jasne i zrozumiałe, że jak się ma lat 16, 17, a w najgorszym razie 18 z „czymś”, to miękki fotel z podnóżkiem i szara godzina z robotą na drutach nie wystarczy. Musi być „cicho wszędzie, głucho wszędzie” i pusto jak w katakumbach, musi być księżyc ciekawie (pierwszy stopień do piekła) zaglądający do „komnaty”, białym światłem szperający po kątach i musi być ona, księżycowa dziewczyna, w księżycową dal śląc księżycowe marzenie o nim, „księżycowym” młodzieńcu.

A że później całymi tuzinami, jak te grzyby po deszczu, co to ich nikt nie posiał, a wzeszły, rodzą się typowe, pensjonarskie wiersze, w skandaliczny sposób naszpikowane łzami, tęsknotą, bólem, gwiazdami i nocą, to trudno, nie sposób przecież stłumić poetyckich porywów. Tylko, że po każdym takim „seansie” domorośla poetka na historii wysyła Sobieskiego pod Płowce, Krzywoustego pod Grunwald, a Jagiełłę koronuje na króla perskiego; na łacinie skanduje tak, że ściany piszczą ze zgrozy, a zrozpaczony Wergiliusz tańczy w grobie jakąś nadzwyczajną mieszaninę tanga i mazura, w zadziwiający sposób przypominającą chorobliwe podrygi św. Wita; na matematyce zaś za wszelką cenę stara się udowodnić, że logarytmów szuka się w... Senniku egipskim.

Zwykle to co prawda skutki wchodzenia w drogę niejakiem Mickiewiczem, Słowackim, Staffom i Tuwimom, ale przecież jeszcze nie powód do kpin, tym bardziej, że prócz najbliższych nikt chyba jeszcze na własne oczy nie widział tworzącej pensjonarki (każdy przecież z własnego doświadczenia wie, że ściągać należy dobrze i w miejscach jak najmniej widocznych).

To tyle o poezji. W dalszym ciągu rozważając pensjonarskie choroby sercowe grzechem byłoby po prostu nie wspomnieć o przyczynach, o tych tysiącach zdradliwych bakterii powodujących niepokojące nie-raz i powolne zaburzenia w organizmie. A najgorsze, że na takie historie rady żadnej nie ma. Na nic bańki, choćby ci ich przylepiono ze dwie kopy, na nic chinozoł i jodyna, „do luzu” wszystkie proszki, mikstury i maście. Bo kiedy pensjonarce wpadnie w oko chwacki ułan (razem z koniem, szablą, ostrogami), kiedy serce podbije szaro-niebieski mundur lotnika albo nawet zrezygnowana mina „piechciarza”, to wtedy „amen”, wpadło dziewczę jak śliwka w kompot i nie poradzi nic.

Realizacja hasła „Młodzież z armią, armia z młodzieżą” jest szybka śmiała, ale niestety, ani trochę pomysłowa.

Wszystko już było, wszystko jak świat stare i znane. Kto wie nawet, czy już nasza prababka Ewa nie marzyła o marynarzu, a Wenus z Milo nie pisała listów do jakiegoś szczęśliwego sapera.

Jedno tylko pewne: ani jedna, ani druga nie знаły na pewno filmówek, nie miały sposobności wzdychać do wszelkiego kalibru Dicków, Wiliamów, Robertów i Brodziszów i „kamieniem” siedzieć w kinie przez trzy seanse z rzędu.

I ręczę, że nie wiedziały, co to jest „biały płomień Szwecji” i czy to się je łyżką czy można ostatecznie palcami. No, a już mowy nawet nie ma, żeby taka Ewa na przykład zakochała się w Liliancie i cały Boży dzień jak struś łykała czekolady „kinowe” w pogoni za fotosami uwielbianej. Po pierwsze — miałyby tu coś do powiedzenia zazdrosny Adam, a po drugie — to nie był XX wiek i Ewa wołała jabłka. Za to teraz — istny szal ogarnął pensjonarski światek i głowę dając, że kędzierzawe, czarne miss afrykańskie uwielbiają Taylora nie mniej od całej zwariowanej na tym punkcie Mariówki, a z fokami „za pan brat” żyjąca Eskimoska na pewno nie powie, że Jean Harlow to gatunek tranu, tylko wymieni wszystkie filmy słynnej gwiazdy, dokładnie określi kolor jej włosów, ostatnią toaletę, poda adres fryzjera i markę pomadki do ust.

I to się jeszcze mówi, że pensjonarki mają pusto w głowie, że brak im ideałów, wyższych celów i t. d. Nieprawda. Każda pensjonarska główka — bez względu na to, czy to będzie w Australii — czy Goździkowie, Koziej Wólce czy Honolulu — jest pełna, pełnusiętka filmów, sztuk, artystek, najfantastyczniejszych sukien i marzeń o cudownych głupstwach „z tysiąca i jednej nocy”. Więc jeśli nie starczy już miejsca na jakieś niezbyt mądre i ciekawe wzory, daty, na fizykę, hormony, renesans, Skargę i Arystotelesa — nie dziwcie się, moi ludzie kochani. Pensjonarska główka za mała, a „dwa grzybki w barszcz” za dużo.

Żadna nic nie umie? Także jedno straszne łgarstwo. Przez tyle „chudych” lat ślęczą biedulki nad książkami (Mniszkówna, Mostowicz, Czarska, Zarzycka i t. d.), przez tyle długich miesięcy myślą na lekcjach o niebieskich migdałach, zakładają jedyne w swoim rodzaju stowarzyszenia wrogów gramatyki i bractwa wzajemnego natchnienia, żeby później śmiały ktoś powiedzieć: „Ty, Kapitol!” (na Kapitolu, jak wiadomo, były gęsi).

Co prawda, nie zdołam chyba zaprzeczyć, że taka ślicznotka, co przez 6 czy 7 lat uczyła się jak dziki csiół reguł i wyjątków gramatyki francuskiej, co systematycznie 4 razy tygodniowo dostawała dwóję z tego pięknego języka i bure, którą akurat tyle rozumiała, co Zeus „esperanto”, później „smutnymi okolicznościami” zmuszona do wydania na świat chcący dwu jako tako skleconych i jako tako brzmiących po francusku wyrazów, staje nieszcześna wobec faktu, że oprócz fatalnych jęków i czegoś w rodzaju „monsieur”, „madame” i „pardon” — nic bardziej francuskiego z niej nie wychodzi.

A jak jeszcze trafi na osobę, która tyle umie po polsku, co ona po francusku, a ona tyle po francusku, co osoba po polsku, wtedy jedna patrzy w milczeniu na sufit, druga na podłogę i wychodzi wówczas na jaw, że obie były pensjonarkami.

Roztrzepanie, naiwność? Austriackie gadanie! Babcia ileś tam razy przespała stację, zgubiła pieniądze i ... serce w 70-tym roku życia i osta-

tecnie wróciła do domu nie doprowadziwszy swej podróży do końca, a wnuczka może jechać choćby na koniec świata sama i bez żadnych większych przygód tego rodzaju.

I bądźmy pewni, że prędzej spieczę raka i wdzięcznie spuści oczęta ciotcia Adelajda z siedmioma felerami, niż jej siostrzeniczka.

Dowiedzionel

Co to właściwie było? Obrona?

Słyszałam kiedyś o adwokacie, który podjął się obrony jakiegoś nieszczęśnika. Groziło biedakowi 6 miesięcy więzienia maximum. Adwokat (pozał się Boże!) zaczął się mocno pienić, unosić, no i w rezultacie... klienta skazano na 5 lat i 600 złotych grzywny. Niefortunny obrońca zabrał trzy chusteczki do nosa, brzytwę (widocznie na wszelki wypadek), dyplom (w tym samym celu), wyjechał i teraz — na pewno odbywa praktykę wśród Kafrów.

Wszystko w porządku, życzę powodzenia i jemu i jego klientom ale — na litość Boską — co ja z sobą, nieszczęsna, zrobię?

Zemsta ludzka ma przeraźliwie długie ręce, a Mariówka jak na złość nie posiada ani jednej niezawodnej kryjówki.

Po prostu... dolina bez wyjścia.

Wanda Ciesielska kl. I. lic.



„Z ARMIĄ I DLA ARMII”

— Ubieramy się — krzyczało pięćdziesiąt obywateli trzeciej klasy. Podniósł się gwar nie do opisania: to rezentuzjasmowane artystki — malarki i dekoratorki, podawały projekty.

Dochód z zabawy był przeznaczony na karabin maszynowy, który miałyśmy pod koniec roku ofiarować armii. Trzeba więc było obmyśleć odpowiednie dekoracje.

„Z armią i dla armii” — krzyczy z entuzjazmem Wanda. „Z armią i za armię” — podejmuje inne. „Z marynarzem i za marynarza” podśpiewuje Danka.

Trzeszczy i piszczy żałośnie drabina. Przystępując z nogi na nogę wisząca wysoko tapicerka z pewnością, że się „nic a nic nie boi”. Świadczy też o tym wymownie wysunięty język (dodaje on poza tym fantazji).

Artystka malarka maluje z zapalem marynarza i musztruje model: „Nie ruszaj się! Głowa do góry! Wsuńże nogę. Rękę włóż do kieszeni. Oj, nie tak!” — krzyczy zdenerwowana i wywija groźnie węglem nad głową ofiary. Nieszczęśnej modelce cierpnie noga i ręka i drży zajęcze serce.

W drugim końcu sali wre niemniejsza praca. Po szmaragdowych falach morza płynie okręt, złote i srebrne rybki przyglądają mu się ciekawie, a śnieżnobiałe mewy towarzyszą mu w dalekiej drodze.

Danka mocuje się się z balonem, który ani rusz nie chce się przykleić; przyciska więc słownikiem nic, drugim — też nic; balon nie trzyma się jasnoróżowego tła. Zrozpaczona siada na nim licząc na swe 56

kilo. Pewna wygranej po paru minutach wstaje z balonem przylepionym do fartuszka.

Pną się po drabinach dzielne robotnice i przypinają samoloty, jakie kto chce: awionetki, płatowce i dwupłatowce, małe i duże. Drugie siedzą na podłodze, tną, kleją, rysują i patrzą z zazdrością na „pajaki”, które drapią się po ścianach i mają trochę ruchu; tamte znów patrzą na pracowite „ślimaki”, spod rąk których wyszedł w tej chwili uroczy żołnierz w zielonym mundurze i o, niebiańska radość — pilot, prawdziwy pilot.

Tram, zgroza najlepszych nawet sportsmenek, sprawca strachu i krzyków, został owinięty w białoczerwone bibułki i stoi sobie poważny i zamysłony. Osoba niepozbawiona spostrzegawczości musi przyznać, że przypomina w zupełności słup graniczny. Jakaś zjadliwa istota porównała go do zabry. Czemu? Nie wiem, chyba dlatego że był pasiasty

Nad bufetem wiszą wycięte ze srebrnego papieru przybory służące ludziom kulturalnym do jedzenia: łyżka, nóż i widelec. Samo wnętrze jest urządzone estetycznie, apetycznie i gustownie.

Na biało nakrytych stolikach zielenią się kwiaty. W bufecie złocą się piramidy pomarańczy i jabłek, a majestatyczny tort spogląda z wyrazem lekceważenia na pyzate pączki. Na rozbawione i zmęczone amatorki czeka orzeźwiający kwas.

Sala gier to uroczy kącik.

Owinięte kolorową bibułą lampy oświetlają dyskretnie kanapkę (dla tego dyskretnie, że była zrobiona z taboretów, które w każdej chwili mogły się rozsunąć, a my nie lubimy straszyć gości).

W tym miniaturowym Monte — Carlo można grać w prawdziwe karty (66 i nawet licytowany tysiąc), w poważne i tradycyjne szachy, warcaby i „Podróż do nieba”.

Przewidywałyśmy, że ta miłutka i przytulnie urządzona sala gier będzie miłym zakątkiem dla tych, które się już zmęczyły, dla amateerek „hazardu” i rozrywek umysłowych.

Skończyłyśmy ubieranie sali! Uf!

Zmęczone, poklejone, poczernione, ale zadowolone artystki patrzą z radością na salę. Ubrałyśmy ją zgodnie z hasłem „Z armią i dla armii”. Samoloty wzlatują w białe obłoczki (z bibuły), groźne tanki wloką się ociężale, a wesoły niebieski marynarz zdaje się uśmiechać i przypominać nam, że nawet wśród zabawy należy pamiętać o Ojczyźnie i obowiązkach względem Niej.

Zielony żołnierz z pewnością myśli o karabinie maszynowym, muszą o nim także pomyśleć wszyscy uczestnicy zabawy.

Z. Kleniewska kl. III.

„Z uśmiechem idź przez życie”

„To może Ci się kiedyś przydać. Wtedy, gdy będziesz smutna, przeczytaj coś z tego zeszytu, a uśmiechniesz się z pewnością. Przyda Ci się, gdy nie będziesz chciała pokazać łez lub smutku, w chwili zwątpienia”.
Podpis nieczytelny, data zamazana.

Kto to pisał? Dla kogo? Skąd to się wzięło tu na strychu?

Te i inne pytania przelatwały mi przez głowę. Pytam się wszystkich domowników, czyje to jest. Nikt się nie przyznał. Tylko w oczach mojej drogiej Babci zamigotała jakaś iskra. „Więc mogę to uważać za moją własność?” „Naturalnie, nam się to na nic nie przyda” — tak każdy odpowiadał na moje zapytanie. W oczach Babci znów zauważyłam coś jakby uśmiech. Tego wieczoru nie mogłam usnąć. Po głowie chodziły mi różne myśli, postanowienia. Szczególnie głęboko utkwily mi takie zdania:

„Trudno jest opanować łzy zupełnie, łatwiej zastąpić je śmiechem do łez”.

„Gdy ktoś ma zmartwienie, a uśmiecha się, można wyczytać je z drgania ust, oczu, brwi, wreszcie z samego uśmiechu.”

„Wielkości uczucia i jego rodzaju nie można poznać po uśmiechu i wyrazie oczu.”

„Z uśmiechem idź przez świat”. Ta myśl zwłaszcza leżała w moim umyśle dość długo.

Ile to razy dla głupiego powodu zalewamy się łzami, ile razy byle czym zanudzamy współtowarzyszy. Ile razy dla byle głupstwa psujemy innym radość, ile razy zmuszamy ludzi do śmiechu wtedy, gdy tego nie pragną, a w chwili, gdy chcą i pragną śmiechu, my mamy twarz skrzywioną. Na przykład ja. Tego wieczoru podziwiałam tych, którzy ze mną mogli tyle czasu żyć i ani razu nie okazali niezadowolenia. A ja dla otoczenia słodką nie byłam. Postanowiłam się zmienić.

Życie dopomina się uśmiechu i opanowania. I tu właśnie, w szkole, zauważyłam, jak potrzebny jest uśmiech. Można się przecie śmiać i uśmiechać tak, aby nikogo nie drażnić. Można opanować smutek o tyle, żeby nikt nie zauważył go, tylko nie trzeba ze swoim smutkiem czy radością gwałtem pchać się między ludzi.

Ile razy w radio słyszymy o ludziach, co podejmowali próby wzbudzenia uśmiechu na ustach innych lub poszukiwali uśmiechających się ludzi. Te ske-ze i porodie pozwalają nam stwierdzić, że my też należymy do tych, co to śmieją się tylko na pokaz. W wielu książkach podziwiam dziewczęta i chłopców w naszym wieku za to, że potrafia się uśmiechać w ciężkich chwilach życia. Tyle razy gderzemy na pesymistów, a zamiast ich poprawić sami stajemy się do nich podobni.

Zdobyć się na uśmiech jest czasami bardzo trudno. Ale najprzejmniejsza jest rzecz taka, którą się osiąga wielkim wysiłkiem. Więc uśmiechajmy się do siebie i do innych, zwłaszcza w chwilach ciężkich.

„Czasami uśmiech jest przykrzejszy od największej przykrości danemu człowiekowi zrobionej. Czasem jeden uśmiech zmienia człowieka na lepsze lub gorsze, zależnie kto i do kogo się uśmiechnął.”

Tak, bo czasem uśmiech może być przykry, jeśli jest sztuczny, słodki jak lukrecja lub ironiczny. Trzeba umieć się tak uśmiechać, aby nasz uśmiech dla każdego był miły.

Maryśka Karska kl. IV.

Pod znakiem samowystarczalności.

Wiadomo. I akacja ma kolce (porównanie do róż zbyt się oklepało). Życie w Mariówce też ma kolce, ale ma i akacje. To, czego jeszcze się nie ma, trzeba samemu zdobyć. Jeśli chodzi o głupstwo i jeśli o wiel-

kie rzeczy. W ogóle. Chyba że kto nie chce. Rozumieją to chyba wszyscy? No, więc!

Na terenie szkoły już od dawien dawna istnieje popularny zakład fryzjerski, w którym króluje Marysia.

Choć to, wielce nadobne dziewczę dziarsko się uwija między klientkami i podczas gdy jedna pod dotknięciem jej nożyc omdlewa z bólu, zabiera się do drugiej. Trzeba bowiem zaznaczyć, że nożyce Marysine mają dziwne własności: ni to magnetyzują, ni to, ni owo, dość, że zamiast ciąć przyciągają do siebie włosy, których ani rusz nie można od nich oderwać. Ano, jak nie można, to się ciągnie, a jak się ciągnie, to owłosienie na tym cierpi. Już nie chodzi mi o to, że fryzura taka ma co najmniej osiem piętér z poddaszem, parterem i suteryną, ale włosy! Biedne! Potem przy czesaniu ani rusz nie można ich się doszukać na głowie.

Niania często do znudzenia opowiada mi siwobrody, a nawet wyłysiały już kawał, że największy hałas, jaki można sobie wyobrazić, mogą stworzyć kościotrupy staczające się po blaszanym dachu.

Twierdzę, iż Niania moja myli się srodze, snąc obce jej są stosunki szkolne, albowiem od owych cierpiących na krzesłach fryzjerskich nikt by nie dokonał większego wrzasku, ryku, pisku i wyci, nawet tabuny dzikich bawołów, stada zgłodniałych wilków, hien czy tym podobnych szakali.

Zgłaszają się przeważnie po dobrej woli, a to dlatego, że trzeba porządnie wyglądać, że grzywka pływa w zupie pomidorowej z kluseczkami, że ostatecznie jak za długie włosy, to i czesać się trzeba raz na tydzień... Słowem, amatorów tej ostatniej obsługi jest wiele, oczywiście tych, które jeszcze nie zażywały owych ziemskich rozkoszy. Jak się odbywa taka ceremonia?

Otóż najpierw siada się z oczekującą miną na krzeselku

Marysia zabiera się do postrzyżyn, z boku zaś stoją, niby dwaj pomocnicy kata, dwie praktykujące. Zrazu stoją beczynn timer, bystrym okiem biegnąc za ruchem nożyc, w pewnej chwili, gdy osoba oprawiona zaczyna reagować, przytrzymują ją: jedna zatem więzi w swym uścisku kończyny dolne, druga to samo czyni z górnymi. Gdy to wszystko okaże się niezbyt skuteczne, zostaje wzywany ktoś trzeci na ochotnika, by przytrzymać drgającą w bolesnych skurczach łepetynę.

O, bogowie! Ile się przy tym człek nacierpi, ten tylko się dowie, kto to sam przeszedł. Ale to jeszcze nic!

Owo strzyżenie jest łagodną pieszczotą wobec golenia szyi. Służy do tego tak zwana żyłtka, a właściwie w obecnym czasie kawałek blaszki o falującym brzegu, coś jak linia sejsmografu przy bardzo gwałtownym trzęsieniu ziemi.

Przy pierwszym ruchu żyłtka skazana wydaje przeciągły okrzyk, kończący się przeważnie charkoczącym rzęzeniem. Potem wszystko ucicha, następuje cisza. Na głowę nieszczęśliwej wylewa się kubek pokojowej wody, w której stały aż do stanu przegnicia kwiatki. Gdy zemdlona (czy otumaniona, jak kto woli) przychodzi do przytomności, mistrzyni kontynuuje dzieło i tak aż do skutku. A gdy wreszcie nastąpi ów wymarzony koniec, uwolniona nie ma siły powstać i przy pomocy innych chwiejnym krokiem opuszcza lokal.

To wszystko oczywiście nie przeszkadza, że Marysia zdobyła sobie całkiem zasłużone miano mistrzyni fachu fryzjerskiego w Mariówce i co

jeszcze o niej bardzo ładnie świadczy, to fakt, że dopóki nie skończy, dopóty nie wypuści ze swych rąk ofiary.

A na zakończenie przezornie zalewa wszelkie cięte i szarpane rany własną wonną „Toską.”

Muszę jeszcze dodać, że Marysia zdobyła sobie taką sławę, iż weszła do przysłów, bo gdy którakolwiek wpadnie w pasję i nie wie, czego najgorszego życzyć swej przeciwniczce, woła mściwie: „Bodaj cię Marysia tępą żyletką golita!”

Tyle o fryzjerstwie.

Powodzeniem cieszą się również manicurzystki (po groszu od czystego paznokcia, od brudnego po dwa), posługujące się miast lakierem czerwoną kredką, którą sucie popluwszy malują w barwne desenie nie tylko paznokcie, ale w swej wielce łaskawej szczodrośliwości i palce aż do pierwszego zgięcia.

Radzić musimy sobie w różnych sytuacjach życiowych. Co się na przykład robi, gdy brak pieniędzy? Wiem z własnego doświadczenia, że czasem nawet spod ziemi nie można wytrzasnąć ni grosza (chyba, że jest się popularną w szkole). Naprawdę, niekiedy potrzebna jest na gwałt złotówka, no, potrzebna! Jeś się chce straszyć, więc trzeba coś kupić na ząb, albo klasówka z czegoś wypadnie i naraz przypomina się, że zeszyt został zużyty w innych, bardziej wzniosłych celach. Co robić? Leci się wtedy do koleżanek, najpierw do tych najlepszych. Ale, o dziwo, żadna jakoś nie ma. Więc potem każdej spotykanej pytasz się, czy nie ma kilku groszy i każda ci wyznaje z żalem, że akurat przed chwilą wydała, albo że nie widziała pieniędzy od nie wiem jakiego czasu; zaklina się przy tym jaszczurka na wszystkich świętych, na babcię, którą kocha, a której, możliwe, nigdy na oczy nie widziała, a jednocześnie bije się w miejsce, gdzie powinno bić serce (czy bije, nie wiem) z taką siłą, jakby dopiero co wyznała szereg śmiertelnych grzechów. Gdy jej uwierzysz, odbiega uradowana, że się ciebie pozbyła, a w kieszeni pobrzękuje, uderzając jeden o drugi pieniążki.

Ludzie znający się trochę na takich eksperymentach odczuwają w nich forszę i wezmą się w inny sposób do sprawy. Przeważnie więc po zbadaniu deficytu nadzwyczajnego oznajmują tonem zgoła obojętnym, iż mogą sprzedać cośkolwiek, przypuśćmy: papeterię, mydło, ołówek, szminkę, czy coś w tym rodzaju. Wtedy momentalnie sypie się tłum i te, które nie miały przed chwilą ani grosza, gotowe są zakupić rzeczy nie tylko wystawione na sprzedaż, ale dowiadują się, czy przypadkiem owa osoba nie sprzedaje tego a czego.

Gdyby mogły, nic by nie zostawiły na bidulce. Ale zdarza się, że po wyprzedaniu różnych towarów po cenie niższej, jest się tak gołą (w przenośni), że przysłowie „Zastaw się, a postaw się” nie może być stosowane.

Wtedy trzeba wynaleźć inne sposoby zarobku.

A więc gdy nie skutkują listy wysyłane do całej rodziny (listy, oczywiście, bez znaczka z dopiskiem: „Opłatę uiszcza P.K.O. ryczałtem!”) trzeba się wziąć do pracy. Można przepisywać słówka łacińskie po ściśle określonej cenie, a czasem zdarzają się też zajęcia nadzwyczajne. Na przykład koleżanka prosi:

— Ach, poleć mi po pieniądze na górę, bo ja nie mogę.

— Dlaczego ja mam móc, kiedy ty nie możesz?

A ona momentalnie przybiera taką minę, jakiej na pewno nawet Piekarski na mękach nie miał:

— Wyobraź sobie tyle mam lekcji.

Albo.

— Tak mnie wszystkie kości bolą po tym zleceniu ze schodów.

Wtedy wypada przybrać stroskaną minę i odrzec:

— No, bo ja wiem. Dusza ma zasmucona jest wielce twoim cierpieniem, ale weź pod uwagę, że i ja mam zdrowie. Zresztą nie mogę na czujesz zawołanie latać, nie jestem chłopcem od posylek.

Prosząca osoba robi w tym wypadku rozczarowano-oburzoną fizjognomię i mówi:

— Ach, a ja myślałam, że jesteś koleżeńska.

Myśli, że w ten sposób przemówi do serca, ale zdarza się, że ziarno pada na twardy grunt.

— Tu koleżeństwo, ma luba, nic nie ma do rzeczy, tu w grę wchodzi honor. Zrozum, iż honor mi na to nie pozwala.

— Honor?

— Cóż się dziwisz, o naiwna. Widać że masz marne pojęcie o honorze. A propos, czyli wprost przeciwnie. Ostatecznie, polecę na górę po pieniądze, z tym, że dziesięć procent od nich ja otrzymam.

Niekiedy umowa zostaje zawarta, niekiedy nie, to zależy od nastroju osoby jednej, a sprytu drugiej.

Podam jeszcze przykład na radzenie sobie w ignych opresjach, na przykład na lekcji.

Bywa czasem, że dziewczę, niekoniecznie nawet leniwe, nie jest przygotowane z jakiegoś przedmiotu.

No, zdarza się: ciekawy program radiowy, emocjonująca książka, niespodziewane spotkanie czy coś w tym rodzaju. A więc gdy Pani zada jakieś pytanie i wodzi wzrokiem po klasie, aby wyłowić jakąś ofiarę Bogu ducha winną, najlepiej w takim wypadku, patrząc z bezczelnością w oczy Pani, zanosić się gwałtownym atakiem kaszlu; można też wpaść w trans kichania albo zrzucić na ziemię kilka przedmiotów lekkiego kalibru i potem przez dobre kilka sekund uwijać się w ich poszukiwaniu, dopóki inna nieszczęśliwa nie zostanie wezwana do odpowiedzi.

Czasem można zaryzykować i podnieść rękę, jednocześnie wycierając bardzo rozgłośnie nos. Jest to wypróbowany sposób, ale dosyć niebezpieczny, bo a nuż Pani rzeczywiście wywoła. Ach, wtedy ręka, noga, mózg na ścianie.

Bardzo ryzykownymi sposobami są: krew z nosa albo nagle zasłabnięcie. Krew z nosa skutecznia się bardzo łatwo, bo za pomocą czerwonego atramentu, zdarza się, że to się jednak wyda.

Zasłabnąć może łatwo persona biała, ale jakże ma zemdleć ktoś czerwonolicy, od którego zdrowie aż promieniuje? W tym celu jest niezbędne mieć zawsze pod pulpitem pewną ilość maki kartoflanej albo miewowego proszku do zębów. Gdy tego zabraknie, trzeba się brać do kredy klasowej. Dlatego może tak często słyszy się pytanie Pań:

— Dyżurne, a gdzie kreda?

Dyżurne, drżąc jak liść na wietrze, odpowiadają, że przecież przed chwilą była. Tymczasem nim nadejdzie chwila, gdy Pani zacznie pytać,

zagrożonej powinno zrobić się niedobrze, o czym oznajmia jej sąsiadka. Pani wtedy mówi:

— No, oczywiście, moje dziecko, jeśli się źle czujesz, to wyjdź.

— Ależ nie, proszę pani — mówi umierającym głosem owa na wpół zemdlona — ja się zostanę, muszę wiedzieć co będzie na lekcji.

— Powinnaś wyjść — perswaduje Pani — i tak ci taka lekcja nie przyniesie korzyści.

— O, nie, ja zostanę — błaga owa, jednocześnie modląc się w duchu — Kochana Boziu, żeby się nie zgodziła. Boziu, żeby kazała mi wyjść.

Wkońcu jednak chora wychodzi w asyście jakiejś koleżanki. Oczywiście amaterek na odprowadzenie jej znajdzie się zawsze „mnóstwo za bardzo”, ale tylko jedna zostaje oczywiście zaszczyconą rolą opiekunki. Ledwie takie dwie wyjdą poza próg klasy, puszczają się galopem.

— Chodźmy — mówi ta, co przed chwilą ledwie mogła powstać z miejsca i przejść kilka kroków wsparta na ofiarnie podanym ramieniu — chodźmy do umywalni. Muszę sobie tę bladeść z twarzy zmyć. A potem poczytamy sobie książkę.

Nie wszystkie jednak chlubią się samodzielnością, są takie, którymi trzeba kierować. Osoby takie stanowczo powinny zaopatrzyć się w opiekunkę, która by nie spuszczała z nich oka od rana do wieczora.

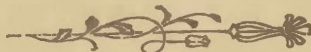
Opiekunkę taką z pewną kwalifikacją znaleźć można łatwo i to po przystępnej cenie.

Dla osób, którym brak pewnej inicjatywy jest ona niezbędna. Niania taka dba o to, by jej opiece powierzone dziecko miało spokój, by wszystko układało mu się tak, jak ono chce.

Zdarza się, że biedna niania oddaje swój deser, oddaje zawartość paczki, którą troskliwa Mamusia przysłała dla niej, odbiera bury za swe niemowlę, pomaga mu się ubierać, czesze je, czyści mu buty i paznokcie.

Niania taka jest bardzo pożyteczna, sama też się wyrabia już w młodości i dlatego polecam wszystkim nianie.

Irena Zajączkiewicz kl. III.



„Kurpianki” mają głos

Przez pierwsze półrocze klasy nasza przedstawiała godny pożalowania widok. Nie było w niej nic, co by świadczyło o wybranym regionalizmie. Ponieważ mieszkamy na Kurpiach, klasa postanowiła to wykorzystać i dlatego też jadąc na święta, miałam pełno i w głowie i na kartkach złeceń, którymi obdarzyły mnie koleżanki. Wraz ze mną jechała lalka, którą miałam ubrać po kurpiowsku.

Przez całe prawie ferie biegałam: po ubranie dla lalki, to znów po wzory wyłanek, słowem, po raz chyba pierwszy nie miałam czasu leniuchować.

Najwięcej kłopotu miałam z „kiercem” (coś w rodzaju pająka), bardzo trudnym do zapakowania, a jeszcze trudniejszym do przewiezienia, jest bowiem dość duży, przypominający kształtem żyrandol, a bibułkowe kwiaty, którymi jest ozdobiony, bardzo łatwo się gniotą. Byłam więc w strachu, że wskutek deszczu i niewygód podróży przywiezę do szkoły do niczego niezdatny grat. Ale jakoś poszło (dosłownie mówiąc — pojechało).

Klasa była bardzo zadowolona — ja również. Lalka, prawdziwa Kurpianka, od razu roztoczyła swe panowanie na etażerze, a u sufitu zawisł poprawiony przez wszystkie po kolei „kieriec”.

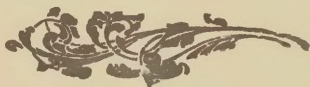
Zawieszenie odbyło się bardzo uroczystie, przy asyście całej klasy. Po stołach, krzesłach i taboretach największa i najodważniejsza z nas — Basia, z duszą na ramieniu, ze strachem o całość swych kości, dokonała tego aktu. Wszystkie były zachwycone: „Śliczny!” „Piękny!” „Wygląda jak z perełki!” Niestety, był to tylko zwykły groch nawleczony na nitki. Usłyszałam potem zdanie którejś: „Szczęście, że u nas są tylko „gęsi”, a nie kury, gdyż niedługo nie byłoby z niego ani śladu”.

Po zawieszeniu „kierca” postanowiłyśmy się wziąć do reszty. Praca została podzielona: jedne miały robić szlak, inne ubierać katedrę, jeszcze inne tablicę. Do wszystkiego prawie potrzebne były wycinanki, więc trzeba je było zrobić. Na wszystkich przerwach, przy obiedzie, w czasie spaceru widać było dziewczynki z papierami i nożyczkami w ręku, obrywające bury i minusiki, gdyż Panie Nauczycielki, zarówno jak Panie Wychowawczynie nie mogły znieść tej niezwyklej gorliwości do pracy w nieodpowiednim czasie oraz nieodpowiednich miejscach.

Nadeszła wreszcie sobota, a z nią uroczystość ubierania klasy. Kto by wówczas wszedł do nas, na pewno przeląkłby się panującego tu „porządku”. Aby temu zapobiec, wywiesiłyśmy na drzwiach kartkę z napisem: „Wstęp wzbroniony”. Wieczorem z dumą spoglądałyśmy na klasę barwną, żywą, wesołą.

I chociaż od wpinania pluskiewek bolały nas palce, nie kryślało się o tym. Bo jakaż to ogromna przyjemność powiedzieć sobie, że to, co mamy, zrobiliśmy same!

Terenia Tłomacka kl. I. b.



Kronika ogólna

28.I. 1939 r. Karnawał mariowski w pełni. Pączków wprawdzie stanowczo za mało, ale jest za to zabawa wielka, wspaniała zabawa z bufetem, uroczą salą balową i — dla nietańczących — zaciszną „przystanią”, obfitującą w różnego kalibru domina, karty, szachy i warcaby.

1.II. 39 r. Dzień Imienin Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. Ignacego Mościckiego, uczciła Mariówka pełną humoru i entuzjazmu akademią urządzoną staraniem L.O.P.P.

10.II. 39 r. Świat cały w żałobie — umarł papież Pius XI. Słuchamy wszystkich audycji żałobnej z Rzymu. W środę 15.II. cała szkoła bierze udział w nabożeństwie za duszę s.p. Ojca Świętego.

18.II. 39 r. Już tylko 100 dni do matury. Z racji tej II. kl. liceum urządziła sobie wspaniałą „studniówkę” z udziałem zaproszonych gości.

19.II. 39 r. Wychowanki Mariówki miały możność ujrzenia ślicznego filmu p. t.: „Znachor” na podstawie powieści Dołęgi — Mostowicza pod tymże tytułem.

Kącik humorystyczny

Salamina czy kielbasa.

Nauka u nas kwitnie. Mamy dziwną metodę uczenia się, polegającą na domyślaniu się i dosłownym tłumaczeniu wyrazów łacińskich. Tak oto rzuciwszy okiem na wyraz „pila”, bez wahania powiemy, że chodzi tu o piłkę. Jednak czasem nie udaje się to.

Jedna trzecioklasistka „De pugna salamina” przetłumaczyła: „Walka o kielbasę”.

Jakie rozróżniamy interwale?

„Czyste i... i... chyba... brudne” — odpowiada któraś.

Pod wpływem „Pana Tadeusza”.

Krysia opowiada przebieg wypadków w „Panu Tadeuszu”: „Węć teraz świątynia dumania, Tadeusz, Telimena, Sędzia, no i niedźwiedź”. Bardzo miłe towarzystwo, prawda?

Hania czyta wyjątek z „Pana Tadeusza”: „Hrabia ze złamanymi poglądał rękoma”... (zamiast „z załamanymi”). Wszystkie szczerze współczujemy nieszczęsnemu Hrabiemu.

Nasze „wybaczalne” błędy.

Hania opowiada historię i ciągnie z wielkim zapalem: „Wszystkie ruchy wolnościowe nic nie wskórały i wróciły rządy „rekreacyjne” (zamiast reakcyjne).

Mała pomyłka.

Pani Pieczkówna prowadzi wykład: „W Paryżu zebrał się, moje dziewczynki, kongres...”

„Wiedeński” — odpowiada ze swego miejsca Lusja.

X. — „Jakich roślin nie ma w Polsce?”

X. — „Futerkowych”.

Skutki jasnego wyrażania się.

Basia opowiada: „A więc stały tam stołki i panie, które były po-przewracane do góry nogami”

— Co to jest epitcma?

Zosia myśli z natężeniem:

— To ten... ten... historyczny „przeciag” (zamiast „wyciąg”).

Stefcia chcąc ułatwić sobie pisownię, a zarazem skrócić pracę, tak zaczęła list do brata:

„Rogi Bracieli

Nie pisałam do Ciebie listu”..

Troskliwa.

Anka siedzi przed stosem papierków od cukierków. Tesia: „Podobno dostałaś paczkę? — I nawet nie pomyślałaś o mnie?”

Anka: „Owszem. cały czas myślałam o tobie i... bałam się, że zanim przyjdiesz, nie zdąży zjeść”.

Dla dodania apetytu.

Danka do Anki i Tesi: „Co jadłyście na powieczorek?” Triumfujący wykrzyknik: „Bulki z kielbasą!”

Wtem Tesia: „No tak, Anka dławiała się suchą bułką, a ja, aby jej dodać apetytu, zagryzałam smaczną kielbasą.”

Prawdziwa harcerka

Renia ubrała się w mundur harcerski.

— Reniu, — prosi Irka — ponieważ jesteś harcerką, bądź tak dobrą i wytłumacz mi matematykę...

— Mogę, ale tylko teraz.

— Dlaczego? Ja bym wołała po kolacji...

— Po kolacji stanowczo nie mogę, bo wtedy już będę bez munduru — odpowiada usłużna harcerka.

* * *

Jedna ze starszych pyta się jakiejś małej: — Dlaczego nie piszesz dyktanda? — Bo moja dyktatorka jest chora — odpowiada rozolutnie pierwszoklasistka

* * *

„Barbarus” — znaczy barbarzyńca. Rodzaj żeński łądziej chyba „barbara.” Czyli na Basię S. będzie można mówić Barbarzyńca.

* * *

Już ciemno. Zasypiamy. Wtem wpada jedna z dziewczynek do sypialni z okrzykiem: — Ach, dziewczynki, X. powiedziała, że byłoby mi ładniej i stałabym się oryginalniejsza z zielonym odcieniem włosów. Podobno to nawet w Ameryce znalazło aprobatę.

— Thi... — odzywa się głos spod kołdry — a czy nie mówiła ci przypadkiem, że zielona łąka straci urok nie mając fiołków?

* * *

— Tak mnie głowa boli, że nie mogę wcale chodzić — użala się Zosia.

— Mnie głowa nie boli, a też nie umiem chodzić na głowie — odzywa się Irka.

* * *

— Basia przepisując tytuły artykułów brzaskowych troszkę się pomyliła, bo zamiast „Kurpianki mają głos” napisała „Krupianki mają głos”.

Biedna Hania i Zosia! Zawsze są takie ciche, a tu nagle każą im publicznie zabierać głos!

* * *

Irka ogłasza na tablicy:

„Dziewczynki, podajcie kawały do kroniki, bo dziś zebranie klasowe”.

Po chwili zgłasza się Hala z kartką papieru i wykrzykuje z triumfem:

„Masz!”

Irka ogląda kartkę na wszystkie strony: „Ale gdzie tu kawał? Przecież ta kartka pusta”.

— „Ja ci daję kawał kartki, który możesz wsadzić do kroniki.”

PRENUMERATA ROCZNA 3 zł. z PRZESYŁKĄ 3.50.

OPIEKUNKA PISMA: HELENA IRENA WITKOWSKA.

DRUK SZKOŁY RZEM. MARIÓWKA OPOCZ.

